Nr. 12. We Lwowie dnia 24. marca 1901. Rok 9.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki Kurjera Lwowskiego

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

Mickiewicz a Słowacki.

Odczyt A. Langego, miany 24. listopada 1900 r. w towarzystwie akademickiem „Ognisko“ w Wiedniu, a powtórzony 22. stycznia 1901 r. w „Czytelni dla kobiet“ w Krakowie.

4)

Z tego samokrwawienia ducha wyszła niezwalczona potęga narodu...

Idźcie! już więcej nie jesteście sługi —
Mojej wściekłości — lecz rycerze twardzi —
Kupiłem naród krwią i nad jej strugi
Podniosłem ducha, który śmiercią gardzi!...

Nie istniała dla niego sprawa: być czy nie być! On wiedział, że naród b ę d z i e, ale drżał na myśl, że to będzie naród lichy i nędzny. Dla tego wszystkie siły wytężył, aby w tym narodzie wywołać ognie jehowiczne, aby choć torturą ducha obudzić w nim Króla-Ducha...

Pokochali go też nieliczni, ale ich liczba rośnie ciągle... Im bardziej zadanie, jakie narodowi swemu postawił Mickiewicz, staje się faktem dokonanym, tem więcej się otwiera serc, które zaczynają rozumieć i kochać Słowackiego.

Ojczyźnie swojej mówił on: Tobie nie wolno być narodem małym, ty musisz być wielkim narodem!

I cóż to jest owa wielkość? Czy niema w tem jakiej teatralności? Czy nie „kolorowy ułan“ ma być jej wzorem i wcieleniem? Nie — Słowacki ją sam doskonale określił, jako wielkość duchową... W jednym fragmencie porównywa on świat dzisiejszy z Grecją Homera.

Na ukraińskiem polu czystem zamek stoi...
Zamiast drzew cytrynowych — stary dąb brodaty,
Zamiast Homera — stary jaki żebrak z lirą,
Zamiast róż — nasze polne ukraińskie kwiaty...
A szlachcice, królowie teraz naszej sceny —
Sąsiadują — jak Argos król z królem Miceny.
Pieszo mógł Agamemnon — a laurowym gajem
Jeśli gorąco — cieniem idąc i powoli,
Po południu wyszedłszy, gadać z Menelajem
O sprawie greków, albo o pługach na roli
I przed zachodem słońca być u siebie w domu.

Rozumiał on, że dwaj o miedzę sąsiadujący rolnicy — mogą mieć w sobie królewskie dusze Atrydów, jeżeli w sobie rozpalą iskrę bożą...

Wielkość może być wszędzie rozlana — i cała twórczość Słowackiego toczy się koło tej sprawy, aby człowiek sam siebie przewyższył i z samego siebie wyższą istotę wydobył, choćby niespołeczną pozornie, wyodrębnioną i nieracjonalną. W kilku rzeczach specjalnie się tą sprawą zajmuje. A mianowicie w rozprawce *o potrzebie ideji*, szuka drogi, na której Polska rzeczywiście utraconą wielkość mogłaby odzyskać. Nie szuka on dla niej panowania na ziemi albo na morzu, szuka dla niej ideji, a tą ideją przewodnią ma być *panowanie w duchu*.

Poeta myśli w obrazach. Słowacki też stworzył obraz, malujący formy, w jakich się wyraża wola do wielkości. W dzienniku, który poeta pisał na rok przed śmiercią, znajdujemy pod datą 25. października notę pt. *Święta przyszłe Narodowe*. Jest to niby kalendarz przyszłej idealnej Rzeczypospolitej.

Oznacza Juljusz pewne dni w roku, jako dni uroczyste, w których głównie wyraża, myśl dążenia do genjuszu, do wielkości duchowej, myśl rozwijania boskości w narodzie. W czerwcu przypada u niego święto hymnów, aby się przybliżyło królestwo boże; w marcu święto braterstwa — święto komunji stołów; we wrześniu — święto trzód — modły o podniesienie duchów niższych; w październiku — święto Ducha św., święto wynalazków, prośba o natchnienie; w maju — święto niepokalanej o uproszenie ducha piękności; w kwietniu — święto matek o uproszenie duchów wielkich i t. d.

Takim to sposobem Polska ma się stać królem duchem narodów? — Musi ona wytworzyć w sobie wolę tej królewskości, i tego panowania — bo ono całe jest wewnątrz nas, ale w napięciu swem najwyższem — wypromieniuje panowanie na ziemi i na morzu...

Taka wola może się tylko w tych obudzić— którzy już zdobyli instynkt bytu — którzy więc przeszli nad nim do porządku — i którzy teraz chcą byt w sobie podnieść i rozwinąć królestwo ducha...

Zapewne droga to zawrotna i stroma, pełna przepaści i niebezpieczeństw... Wielu jest powołanych, a mało wybranych...

Jednakże — dążenie do bóstwa — utajone żyje w każdym człowieku; i w każdym może rozkwitnąć. Toteż powiada Słowacki w testamencie: zostanie po mnie ta siła fatalna, co mi żywemu na nic...

Lecz po śmierci was będzie gniotła niewidzialna

Aż was, zjadacze chleba — w aniołów przerobi...

Tak to Słowacki chce naród swój „opętać przez anioły“ — aby stanął jako naród-duch śród narodów cielesnych... Ale jest to praca olbrzymia i nadludzka — i nieraz może Syzyf w rozpaczy będzie ręce łamał...

Takie zadania postawili Polsce twórcy jej koranu. Dopóki zadania te wypełnione nie będą, każda nowa twórczość jest tylko echem, po stokroć powtórzonem, tych pierwszych objawień. Słowo Mickiewicza — częściowo już stało się ciałem; naród jest, ale dopóki jeszcze gdziekolwiek są dusze, które nie wiedzą o sobie, dopóty Mickiewicz będzie ich poruszał; zadanie jego blizkie wypełnienia: pozostaną po nim dzieła sztuki czystej — i wtedy obaczymy Mickiewicza — z innego stanowiska. Pieśni jakie Słowacki narodowi swojemu ogłosił — może nie są tak do wszystkich zwrócone, jak słowa Mickiewicza, – ale zadaniem jego jest wywoływać tych czatowników, co mają budzić swój naród, ilekroć wpadnie w uśpienie.., Miary tego zadania określić niepodobna, gdyż ono niema granicy — a każda wielkość może być przewyższoną.

Tak zaciężył nad myślą polską ten pierwszy moment napięcia ducha narodowego, że on ściśle biorąc, nic już więcej nie wydał — i nikt do tych zadań ani jednego słowa już nie dodał...

Ale duch ludzki wyczerpać się nie może — i wszyscy oczekujemy jakiejś nowej ideji — z ducha narodowego wyrośnionej — i oczekiwanie to jest samo przez się nastrojem, który ducha podnosi... Jest to nastrój — którego źródło tkwi w obu instynktach i w obu wolach — w woli bytu — i woli wielkości, w Mickiewiczu i Słowackim.

O Krzyżakach.

Przez

8) **Marję Konopnicką.**

O duszy księżnej — wiemy niewiele. Wiemy o niej tyle, ile jej pokazała przez udział w losach Zbyszkowych i zależnie od nich. Wiemy, że jest dobrotliwa, łaskawa, współczująca. Ale takiego psychicznego pogłębienia, któreby jej dawało pełne wymiary indywidualnego, samoistnego życia, bez względu na tok opowiadania, ta dusza w powieści nie ma.

Raz tylko odkrywa się ona przed nami taka, jaka jest sama w sobie; ale właśnie w tym momencie tworzy Sienkiewicz w postaci księżnej obraz tak uroczy, że nasz wzrok oczarowany nie widzi nic, prócz przepysznego tła pełnej świateł, grzmotu organów, bicia dzwonów świątyni, i prócz tej klęczącej pani, która cała owiana obłoczną sinością kadzielnych dymów, trzyma rozłożone dłonie na wysokości twarzy i utopiwszy zachwycone oczy w gorejącym światłami ołtarzu, trwa tak w tym wichrze pieśni, zapatrzona, zasłuchana, uniesiona w zaświat gdzieś, nad ziemie.

A Danusia? — Danusia cała stoi na barwach i światłach jak obraz. Jest poprostu — malowana, nie pisana, i my ją przedewszystkiem — widzimy. Co tam takie ptaszątko myśli, co czuje, skąd nam wiedzieć? Ma to jakieś swoje radości, jakieś smutki i trwogi; ale że ta duszyczka, mało co sama siebie świadoma, tak nam jest pokazana, jak wątły płomyk, zatlony po to tylko, żeby prześwietlał sobą zewnętrzny kształt wiotki i powierzchną delikatną barwę. Zaczem, gdy męka niewoli kształt ten złamie i kolor ugasza, płomyk ów zaćmi się także, jakoby już było nic po nim. Jakoż najwyższy patos tej postaci wyrazi się w niej zmąceniem barw i linji życia, zatraceniem perspektywy duchowej i światła. W oczach nam poprostu zblednie i zniknie Danusia w męce swej a i sama sobie tak, jakby po niej rozciągnęła się zasłona gęsta, ciemna.

Powiada Sienkiewicz, że gdy Zbyszko, mający ślubować Danusi, zobaczył ją w sukience białej, długiej, sztywnej i w wianuszku z nieśmiertelników na rozsutych włosach, zdawało mu się, że to nie ziemska dziewczyna, ale obrazek świętej jakowejś, który już gdzieś kiedyś widział na kościelnej szybie.

Ale to właśnie pewny ślad, że sam Sienkiewicz pojął i wymalował tę postać dziewczki tak, iż wyglądała jak święta na kościelnej szybie, trochę już przybladła od tchnień zaświata, i już w śmiertelnych kolorach cmentarnego kwiecia, iż jej to w samym zamyśle poetyckim śmierć sądzoną była. Ale i wtedy, kiedy Danusia wy-

daje się Zbyszkowi „ziemską dziewczyną“ — na nas, a i w zamiarze autora także, — czyni stale wrażenie obrazu, który też na kościelnej szybie malować by można. Zwłaszcza ten w przeciwstawieniu do Jagienki, która zawsze ukazuje nam się bardzo żywa, bardzo istotna, ciepła cała i różowa od mocnych, zdrowych instynktów życia, wskroś jakby przejęta żywiczną wonią tych borów, po których się w kożuszku na wywrót i okrakiem na siodle siedząca — ugania. Co do Danusi, weźmy naprzykład ten pierwszy z brzegu moment, gdy ona na ławie, między siedzącymi po brzegach rybałtami, z luteńką stoi, „przetowłosa“, w niebieskiej szatce i w czerwonych, szpiczastych trzewiczkach, a podniósłszy główkę zwraca oczęta „jak ptak, który chce śpiewać“. — Czy to nie obraz?

Albo ten drugi, gdy na ogromnem tle krakowskiego rynku i bijącej godziny tracenia biała, przez pana Mikołaja z Długolasu wysoko nad stubarwnym tłumem niesiona, rzuca nałęczką na głowę Zbyszkową, już w łunach katowskiej czerwieni stojącą... Albo...

Ale nie. Po co wybierać poszczególne momenty, w których nam Sienkiewicz Danusię pokazał, skoro postać jej w samym pomyśle już po malarsku ujęta, aby być tem, czem jest, potrzebuje stale pewnego tła, pewnej perspektywy, pewnego oświetlenia zupełnie jak obraz.

Potrzebuje ich w życiu i przy śmierci. Nic cudniejszego, jak ta wielka kreacja malarska, która się pogrzebem Danusi nazywa.

Sienkiewicz komponuje ten wspaniały plain'air tak, jakby miał przed sobą płótno, stalugi, a w ręku paletę i pędzle.

Rozległa, przygrzana słońcem łąka. Ludzkie postacie chodzą w słońcu, wśród bujnych traw, krążąc to bliżej, to dalej, schylając się i rwąc złoty korzeniec, liljowe dzwonki i różowe smółki. W głębi kosiarz postaje i nabija kosę. Wielka grusza cień ściele szeroki. Cisza. Cały bezmiar ciszy błękitnej nad światem. Nasycone światłem powietrze mży złotem na łężną równinę. Na dalekim horyzoncie mroczą się głębokie bory. A u szerokiego cienia wielkiej gruszy, wprost na widza idą zwolna, zwolna, śmiertelne mary Danusi. Idą — nakryte kwieciem. Cała litanja kwiatów idzie za Danusią umarłą. Cisną się, tulą, do rąk jej, do nóg, do piersi. Ona sama, w tej polnej śmierci swojej, jest jako kwiat w łące skoszony, a twarz jej wśród dzwonków lilji bieleje cicha, ukojona i poprostu anielska.

I idą tak, z łąk jasnych ku ciemnym borom śmiertelne mary Danusi, a dokoła niewiasty, obarczone pękami ziół i kwiatów. I idą tak, po szerokich błoniach, pomiędzy trawami łąk a szarym ugorem, pod ogromną złotą zorzą wieczorną, jak gdyby w wieczny blask i w wieczną jasność.

. . . .

Ale tym, po malarsku pojętym postaciom, które ukazują nam się, jak gdyby na jednej tylko płaszczyźnie psychicznej, mając perspektywę swoją poza sobą, a nie w głąb duszy idącą; postaciom, którym stale towarzyszą zjawiska świetlne i barwne, wywołując w nas przedewszystkiem wrażenia wzrokowe, przeciwstawia się w „Krzyżakach“ cały szereg silnie rzeźbionych figur, z których każda ma pełne wymiary indywidualnego, psychicznego życia. Tym, nie potrzeba tła, aby były, czem są. Nie potrzeba im optycznych złudzeń. Postaw je jak chcesz i gdzie chcesz, dostoją zawsze i same sobie i chwili.

Dotkliwie wyraziste, są zarazem proste i głębokie. Słowo, czyn, gest, sytuacja, odkrywa w nich nietylko pewien moment duszy, ale poza momentem leżące i od momentu zgoła niezależne nieraz duszy tej pokłady, tworząc głęboką psychiczną perspektywę, która porywa naszą myśl i czucie, bez względu na wrażenia wzrokowe. Bo te postacie, to czasem tylko bryła narzuconej na myśl twórczą gliny; ale jeden błysk duszy, czyni z bryły owej rzecz przedziwnie i na zawsze żywą. Taki jest Cztan i taki jest Wilk młody w Brzozowej, gdy na cmentarzu kościelnym w Krześni toczą w zapamiętaniu ogromne głazy do wrót, i od wrót znowu na miejsce, iżby ulżyć sercom, skowyczącym z bólu i z wściekłości. Biedne, grube, ledwo że ludzkim kształtem zaznaczone cyklopy, a jakie — w tem wywarciu ślepej siły, szukające ratunku na „skowyt serca“ — żywe i prawdziwe!

Ale od tych w surowej glinie lepionych nieszczęśników, z których jeden kamień swojej doli przetoczył aż na stronę śmierci i był zabit, a drugi — lepiejby go sobie u szyi uwiązał, niż się z chłopianką swoją twardej pięści – żenił, – od tych dwóch z gruba ciosanych siłaczy, prowadzi cała galerja przedziwnie pomyślanych postaci w górę, w górę, wysoko, aż do spiżowego posągu Juranda, nad którym już tylko krzyż jeden być może.

Jurand, to prawie Cyd polski. Jego myśl utkwiła na jednym krwawym ćwieku krzywdy śmiertelnej i niepowetowanej. Jego serce zastygło w lodową bryłę nienawiści twardej, zaciętej. Jego dusza uczyniła się zapiekłą, jak zła rana, milcząca i sroga jak nieszczęście.

Skupiony,ześrodkowany w sobie, jedną ma tylko sprawę żywota, a raczej sprawę śmierci i tę pełni jak los, jak przeznaczenie. Jurand nie pyta, jak pytają insi, żali wojna będzie? albo kiedy będzie? albo kto na nią powiedzie? Sam sobie żołnierz i sam sobie wódz, na każdy czas wojnę czyni, na każdy czas w zbroi gniewu stoi pod czarną chorągwią pomsty. Jurand nie walczy jak insi dla łupu. „Jedną-m ci ją miał, jako owieczkę“ — mówi o swojej niebodze, odsłaniając nagle i zgorzel czarną swej rany i serce wolne żądz, wolne chciwości. Jakoż za jeńca okupu nie bierze. Woli spać przy jego jęku, który słychać z lochu, a który mu jest jako pieśń najmilsza. Ale i dla sławy nie walczy Jurand także: nawet dla ojczystej. (C. d. n.).

Agenor hr. Gołuchowski

w pierwszym okresie rządów swoich (1846—1859).

Pod powyższym tytułem okazała się cenna praca historyczna p. Br. Łozińskiego. Korzystając z obfitego historycznego materjału tej pracy, podajemy zarys polityki administracyjnej hr. Gołuchowskiego. Sąd nasz i p. Łozińskiego o hr. Gołuchowskim wypada całkiem odmiennie, jak odmiennem jest zapatrywanie nasze na sprawy społeczne i ekonomiczne.

O tem, czy Agenora hr. Gołuchowskiego należy zaliczyć do stańczyków, czy nie — toczył się nieraz spór między stańczykami i demokratami galicyjskiego autoramentu. Ci ostatni dowodzili, że ponieważ okres pierwszy działalności Agenora Gołuchowskiego przypada na czas przed zjawieniem się Teki Stańczyka, owego pamfletu politycznego, który był, podług nich, przejawem narodzenia się tego stronnictwa, więc oczywiście Agenor Gołuchowski do stańczyków nie może być zaliczony.

Jednak należy przyznać rację pisarzom stronnictwa stańczykowskiego, którzy Agenora hr. Gołuchowskiego zaliczają do swego obozu. Zasadniczą cechą stańczykierji jest lojalność wobec rządów zaborczych, bezwarunkowa względem nich ugodowość. Dlatego to Agenor hr. Gołuchowski winien być zaliczony do stańczyków zaboru austrjackiego, jak margrabia Wielopolski do stańczyków zaboru rosyjskiego. Pisarze stańczykowskiego kierunku lubią przeprowadzać paralelę między temi dwoma wybitnemi osobistościami, czyni to i p. Łoziński, przyczem zaznaczają, że hr. Gołuchowski znalazł poparcie w społeczeństwie polskiem, czego brakowało Wielopolskiemu, stąd też odmienne skutki polityki jednego i drugiego. Całe to rozumowanie nie wytrzymuje krytyki. Hr. Gołuchowski był przedstawicielem reakcyjnej epoki w pierwszym okresie swych rządów, lecz musiał realizować zdobycze rewolucji, które zniewoloną była pozostawić zwycięska reakcja, nie mogąca już powrócić w całej pełni do stanu rzeczy z przed rewolucji. Margrabia Wielopolski miał realizować przejawy wrzenia rewolucyjnego przed 1863 rokiem w ustępstwa dla naszego narodu ze strony rządu. Nie zrozumiawszy jednak, że cały jego wpływ wobec rządu, wszystko to, co może osiągnąć, zależnem jest od napięcia sił rewolucyjnych w narodzie, Wielopolski chciał je zniweczyć, sprowokował powstanie, które, wybuchnąwszy przed należytem przygotowaniem, dało nam rozwiązanie kwestji włościańskiej, ale wydało też na pastwę ucisku rządowego.

Następnie winniśmy zauważyć, że nie lojalność wobec Austrji, owa zasadnicza cecha polityki hr. Gołuchowskiego, przywiodła do tych zdobyczy narodowych, jakie osiągnęła polskość w Galicji, ale te porażki zewnętrzne, które przeobraziły formę państwową Austrji i pozbawiły ją najpierw włoskich prowincji, następnie wykluczyły ją ze związku niemieckiego i przeobraziły ją w Austro-Węgry; następnie, wzrastające niebezpieczeństwo panslawistycznych knowań Rosji zmusiło Austrję ze względu na znaczenie wielomiljonowego narodu polskiego, jako czynnika militarnego, czynić mu ustępstwa w Galicji.

Wobec tego nie powinniśmy przeceniać wyników systemu hr. Gołuchowskiego. Można nawet twierdzić, że gdyby nie nastąpiły zmiany zasadnicze w Austrji, wskutek wyżej wskazanych okoliczności, system ten, który uosobiał się w Gołuchowskim, przyniósłby nam znaczne szkody pod względem narodowym i kto wie, czy pod pewnym względem nie znieprawił on ducha naszego w Galicji, wskutek czego w dobie autonomicznej byliśmy tacy marni.

Rusyfikacja, germanizacja lub austrjazacja, mogą być prowadzone przez urzędników obcych, ślepe narzędzia rządów zaborczych. Wówczas stosunki układają się bardzo jasno. Społeczeństwo widzi swych wrogów, obcych biurokratów, nienawidzi ich i jest wzajem przez nich nienawidzone; ta nienawiść względem wrogów wytwarza stan duchowego do boju pogotowia. W Królestwie, na Litwie mamy obecnie przykłady takiego stanu. Całkiem rzecz ma się inaczej, gdy do celów antinarodowych, do pozbawienia narodu dążności do bytu samodzielnego, używa się pomocy samych jego członków. N. p. podczas ery ugodowej za Capriviego, w pruskim zaborze arcybiskupem na miejsce Niemca ks. Dindera, był naznaczony ks. Stablewski, znany ze swych mów opozycyjnych w sejmie pruskim. „Sądzono, że to był błąd, — pisze p. Rychard Wagner w swej broszurze *Pollenkoller* — nie to był krok bardzo zręczny. Księża polscy niedowierzali Dinderowi, bo to był obcy, całkiem inaczej są usposobieni względem Stablewskiego, bo on krew z krwi, on z kości ich. Czego by nie mógł dokonać z nimi Dinder, może Stablewski. Sam Stablewski się przeobraził i pomimo ciężkich wykroczeń rządu pruskiego przeciwko polskości, śpiewa on na nutę coraz to łagodniejszą.“

Germanizacja Galicji w pierwszej połowie XIX. w. była bezwzględną i prowadzoną pod kierownictwem obcych biurokratów. Rewolucja musiała zmienić system. Wacława Zaleskiego postawiono na czele galicyjskiej administracji; dawny gubernator lwowski, Stadion, chciał Gołuchowskiego, lecz nie mógł go na razie przepchnąć, jako niepopularnego wśród demokratów i patrjotów polskich, Smolka był przeciwko kandydaturze Gołuchowskiego. Na falach wzrastającej reakcji wypłynął Gołuchowski.

P. Łoziński usiłuje udowodnić, że mylnem jest rozpowszechnione mniemanie, że Stadion wyniósł Gołuchowskiego za to, że ten podał projekt na Radzie gubernjalnej dla przeciwdziałania dążeniom polskim wysunąć Rusinów i stworzyć Radę ruską dla zneutralizowania Rady narodowej polskiej. Jakkolwiek dowody, przytoczone przez p. Łozińskiego, nie są dostateczne i opierają się głównie na tem, że w swem przedstawieniu Stadion o danym fakcie nie wspomina, jednak nawet godząc się na twierdzenia Łozińskiego, że nie Gołuchowski był inicjatorem reakcyjnej Rady ruskiej, niepodobna nie uznać, że gdyby hr. Gołuchowski nie zaznaczał się w Radzie gubernatorskiej różnemi kontr-rewolucyjnemi projektami, nie odpowiadałby widokom rządu.

Rzecz naturalna, że hr. Gołuchowski nie mógł być na razie popularnym w kraju. P. Łoziński i Abancourt świadczą, że nim nie był, że szlachta okazywała umyślnie względy jego pomocnikowi hr. Kalchbergowi, pozostającemu w ciągłym antagonizmie względem Gołuchowskiego, by wykazać swą niechęć ostatniemu.

P. Widman w swej pracy o Smolce przytacza z ust tego ostatniego, że przed 1848 r. paki zakazanych książek zawsze można było ukryć w każdym niemal szlacheckim dworze, w konstytuancie 1848 r. widzimy wielu przedstawicieli szlachty w obozie radykalnym pod względem politycznym. Otóż tę szlachtę zlojalizował hr. Gołuchowski.

Szlachta z natury rzeczy jest żywiołem konserwatywnym, ale pod względem świadomości narodowej stała ona znacznie wyżej, niż inne warstwy u nas, a zwłaszcza chłopi. Rząd więc austrjacki, widząc, że szlachta może być mu wrogą ze względów narodowych, starał się oprzeć na chłopie i prowadził demagogiczną politykę.

Polityka rządu nie była demokratyczna, nie zdążała do podniesienia bytu materjalnego chłopów, do zniesienia stosunków pańszczyźnianych, rząd nie uwzględnił prośby stanów z 1843 i 1845 lat, zdążających do rozwiązania stosunków pańszczyźnianych, w interesach rządu było jątrzenie tych stosunków. Rzecz więc naturalna, że rosła nienawiść chłopa do pana, a pana do rządu. Następnie, jeżeli uwzględnimy, że kraj przepełniała obca biurokracja, że Stany sejmowe wielokrotnie musiały bezskutecznie podnosić upośledzanie krajowców w urzędach, zrozumiałem dla nas będzie wrogi nastrój szlachty względem rządu, nastrój, stanowiący grunt odpowiedni dla ideji rewolucyjno-patrjotycznych. Przeobrażenie tego nastroju — to system hr. Gołuchowskiego, to system, w który wchodził rząd austrjacki po 1848 r., któremu hołdował w pewnej mierze antagonista Gołuchowskiego, przysłany przez Bacha, hr. Kalchberg, usiłujący zjednać szlachtę przez przyśpieszenie spłaty indemnizacji, co wobec stosunków kredytowych owego czasu było rzeczą olbrzymiej wagi: Kalchberg wspomina, że udało się mu zjednywać sympatje chłopów, którzy uważali go za swego oswobodziciela? Jak się domyślać można, człowiek ten grał podwójną rolę, manewrując pomiędzy różnemi systemami i żywiołami społecznymi. Hr. Gołuchowski był daleko bardziej jednolitym, chociaż przedstawiał typ nowy wówczas, a dziś bardzo rozpowszechniony w Galicji, kombinację austrjaka-biurokraty ze szlachcicem polskim. Człowiek takiego typu był z natury rzeczy powołany do zaprowadzenia zgody szlachty z rządem austrjackim. Znaczną część kosztów tej zgody musieli ponieść chłopi. Pierwsze rządy namiestnikowskie hr. Gołuchowskiego, to okres załatwienia sprawy serwitutów; prawo udziału do lasów i pastwisk zostało zachowane po zniesieniu pańszczyzny. Prawo to nie mogło pozostać wiecznie, gdyż przeciwdziałałoby postępowi kultury rolnej, racjonalnej gospodarce leśnej; z drugiej strony pokrzywdzenie chłopów w sprawie serwitutów musiałoby wywrzeć wpływ ujemny na ich gospodarkę i uczynić ich mniej zdolnymi do dalszego rozwoju ekonomicznego; pozbawiając chłopa serwitutów, należało mu dać odpowiednie odszkodowanie. W sprawie serwitutów interes szlachty i chłopów znajdywał się w sprzeczności. Hr. Gołuchowski stanął po stronie interesów szlacheckich. Rzecz charakterystyczna, że w swych okólnikach z dnia 27 i 28 lutego 1849 r. hr. Gołuchowski uznaje prawo chłopów do pobierania suszu leśnego, a poddani w dniu oznaczonym przez dwór na każdy tydzień, mogą udawać się do lasu dworskiego bez siekier i zabierać stamtąd złomy i gałęzie wyłącznie dla własnego użytku i w miarę potrzeby. (214 str. Łoziński. Agenor hr. Gołuchowski).

Władysław Studnicki.

(Dokończenie nastąpi).

10)

ALOJZY JIRASEK.

CHODOWIE.

Obraz historyczny.

Z głębi lasu natomiast płynęły głosy i dźwięki przerozmaite. Między pniami drzew, przez zarośla, błyskały tam i ówdzie czerwone płomienie watr, zastępujących bezdomnym ogniska rodzinne. Kupili się przy nich swoi i obcy, jak gdzie się trafiło. Wspólna niedola zbliżyła, zrównała wszystkich.

Ruch jednak najżywszy panował na węglowisku, gdzie dawniej węgle wypalano. Płonęły tu liczne ognie, zgromadziło się najwięcej gospodyń. Jedne zajęte były warzeniem skromnej wieczerzy, inne kołysały do snu młodsze dziatki, podczas gdy starsze, nie zdając sobie jeszcze sprawy z ważności i grozy chwili, goniły i figlowały wesoło. Mężczyzn było jednak mało na polanie; większość znajdowała się w Hamrach, lub na straży. Ci jeno, co odbyli już swoją służbę, przyszli zajrzeć do rodzin i spożyć wieczerzę.

Na uboczu, w cieniu rozłożystego buku, siedział u niewielkiego ogniska stary, białowłosy Przybek, ojciec Macieja. Głowę miał zwieszoną nisko na pierś. Zdawał się drzemać. Wnet jednak podniósł twarz, gdy suche gałązki jęły pękać pod czyjemś ostrożnem stąpaniem. W kręgu światła ukazał się Maciej. Wiódł gościa ze sobą: młodego Szerłowskiego. Starzec poznał go wnet i wyciągnął drżącą rękę na powitanie.

— Kaz ta my się uwidzieli, chłopcze! — mówił, smutnie się uśmiechając. – E dyć prawiłech wnetki, że ta chometa... Boże daj, aby to się przecie dobrze skończyło... Ha, no, widzisz przynajmniej, jako to drzewiej bywało, kie nascy ojcowie warować musieli po lasach we dnie i w nocy. I nie siedzieli hań zadarmo — nie! Sprawiedliwie zasłużyli prawa i przywileje—a dziś..

— Kany je Maryna? — przerwał Maciej pytaniem mowę ojca.

— Poszła ku krowom, hań w las...

Zaczem zbliżyło się do ognia kilku gazdów, których tu ściągnęła obecność Macieja. Pogwara zawiązała się wnet o nieprzyjacielu i płynęła żywo. Zastanawiano się głównie nad tem, że dziś nie rozpoczynał kroków zaczepnych, że ostawił ich w spokoju.

— Ho, ho! Toć przecie widzieli, że niema ich telo, co nas — tłumaczył Maciej.

— A kieloż ich będzie?

— Dwie sta, jako chłopcy prawili, a nas ze dwa razy telo.

Tłumaczenie to przyjęto z dobrą wiarą. Chodowie przekonani byli święcie, że wojsko wysłał na nich przez zemstę Lamminger, bez wiedzy cesarza; — nie uwierzyliby więc, gdyby ktoś usiłował im dowieść, że starosta otrzymał rozkaz z Pragi, aby unikano, dopóki można, zbrojnego starcia i krwi przelewu...

Kiedy Maciej Przybek powstał po chwili, chcąc wrócić do Hamr, młodego Szerłowskiego nie było już przy ognisku. Zniknął w gęstwinie leśnej, porwany chęcią zobaczenia corychlej Maryny.

Głębiej w boru, na polanie, stał spędzony cały statek pod opieką dziewcząt i chłopaków, którzy go pilnowali i odbywali. Maryna wracała właśnie stamtąd ku watrze, niosąc pełny skopek świeżo udojonego mleka, gdy Szerłowski zaszedł jej drogę. Ujrzała go pierwsza w pomroce wieczornej, przy chwiejnym blasku ogni i stawiając bystro skopek w trawie, wyciągnęła ku niemu obie ręce. On podał się naprzód rączym ruchem jelenia i w jednej chwili był przy niej, tulił do piersi kochaną dziewczynę.

— Jesteś już — ach, jesteś!...

– Jestem i oczy wypatruję za tobą, Maryś... Nie spodziewał-ech się jednak, że o tym czasie napotkam cię samą w lesie — dodał żartobliwie.

— I ja też nie — Boże miłosierny!... I co to z tego będzie?...

— Coby miał być? — Bronić się będziemy!

– To się rozumie, dyć chodzka krew płynie w naszych żyłach! — zawołało mężne dziewczę.— Ale co szkody wszędzie? I to przed samemi zbiórkami...

— A nasze namówiny! — wtrącił młodzian.

– Poszły też w odwłokę—westchnęło dziewczę, wnet jednak dodało:

— Ale niechby ta już! Byle do szczęśliwego końca doprowadzić, byle odpłacić Lomikarowi za krzywdy... Radabych czekała do świętego Jerzego i choćby rok cały, byle ino ten bezera... Szłabych wnetki wraz z wami strzelać do niego! — mówiła, błyskając oczyma, nieodrodna córka Macieja Przybka.

Tak rozmawiając trzymali, się za ręce i posuwali zwolna ku węglowisku. Wtem doleciał ich stamtąd gwar głosów męskich i gromkie okrzyki, budzące echa w zaśniętym lesie.

— To oni — to nascy! – zawołał Szerłowski. — Z Poczynowiec i Lhoty!...

Nie mylił się. Uszedłszy kilkanaście kroków dalej, zobaczyli przy ogniach gromadę górali, po większej części w strzelby uzbrojoną. Było ich koło pięćdziesięciu chłopów, jak dęby rosłych. Nadbiegli przed chwilą właśnie, na pomoc, kołując lasami i zasiadali przy ogniskach wśród radośnych wołań i powitań.

— Przyjdę do ciebie jeszcze, hań ku watrze — mówił Szerłowski, żegnając dziewczynę wymownem spojrzeniem i zmierzając ku swoim.

W tej samej chwili Hanka, siedząc na skraju węglowiska, kołysała do snu Hanusię, którą zbudziły donośne krzyki poczynowskich i lhockich górali.

Pawełek, spoczywający na ubogiem posłaniu, ani drgnął nawet. W niemniej głęboki sen pogrążona była i rodzina grajka. Iskra jeno uwijał się kędyś między chłopami.

Hanka, huśtając dziecko na kolanach, nuciła jakąś kołysankę stłumionym głosem. Ach, na płacz jej się zbierało przy tym śpiewie. Wspominała, jak bywało dawniej, gdy z mężem układała do snu dziatki i razem z nim czuwała nad śpiącymi. A dziś – koczuje w puszczy leśnej, niby cyganka... Ale to nic... Byle on był tutaj... Z radością powitałaby dolę najcięższą, byle z nim być, razem! I co się z nim dzieje — kędy przebywa — co robi? Musi i on przecież myśleć o niej, wspominać...

Wspomina – o gdyby wiedziała, że w więzieniu ponurem wspomina!... C. d. n.

Z Syberji i Kamczatki

przez dra Benedykta Dybowskiego.

(Ciąg dalszy).

Ażeby dać miejsce szerokiej rzece, musiały się tu rozstąpić, albo raczej skruszyć potężne łańcuchy górskie. Dziś stoją one z obu stron Angary szeregiem szczytów, porosłych lasem przeważnie modrzewiowym (stąd nazwa wsi Listwiennicznej czyli modrzewiowej). Po środku rzeki wynurza się skalisty massyw, z łona kipiącej u jego stóp topieli wodnej. W dalszym przebiegu Angary, dolina jej rozszerza się znacznie, góry odstępują na strony i widoki okoliczne, z wioskami przybrzeżnemi, z polami, łąkami etc., przybierają charakter cichych, sielskich krajobrazów, przypominających kolejno każdemu, według zasobu jego lotnej fantazji, to wybrzeża Wilji i Niemna, to Wisły, lub Dźwiny, a nawet Odry i Dniepru. Dziwne, lecz każdemu znane jest zjawisko, że człowiek umie w obcym krajobrazie widzieć przeważnie to, co mu jest najdroższem z widoków rodzinnych. Pamiętam, że gdyśmy wjeżdżali do Nowogrodu dolnego (Niżny-nowgorod), jeden z naszych Litwinów uznał okolicę tego miasta za bardzo podobną do okolicy Nowogródka, tylko, że ta ostatnia ma być, według jego zdania, bardziej uroczą.

Najpiękniejszą część Angary, w jej biegu początkowym, stanowią już wyżej wspomniane „wrota“, wraz ze skałą śródrzeczną, zwaną „Skałą Szamańską“ albo „Kamieniem Szamańskim“. Gdy się patrzy na tę skałę z daleka, np. z traktu pocztowego, biegącego z prawej strony rzeki, nie imponuje ona wcale, ani wielkością, ani grozą otoczenia. Ażeby się jej bliżej przypatrzeć, trzeba się wybrać na łodzi, podpłynąć zręcznie pod same stopy kamienia, ze strony przystani cichej, ochranianej przed prądem wody ścianą skalistą, a następnie po gruzach i złomach popróbować wedrzeć się z trudem na szczyt i dopiero z tego miejsca rzucić okiem do koła; wtedy tylko zrozumiemy wrażenie, jakie odbierać musieli Burjaci przestępni, gdy jeszcze za rządów własnych, datujących się z owych dawnych, niepowrotnie minionych, lecz „dobrych“, starych czasów, z epoki życia patrjarchalnego — byli tu stawiani przez Szamanów z rozkazu władzy, ażeby zeznali winy popełnione, ażeby ślubowali poprawę i rzuciwszy się z wierzchołka skały w spienione fale rzeki, przy pomocy duchów dobrych starali się wyjść cało z tej próby wodnej. „Tylko ci nie tonęli“, powiadał Burjata, towarzyszący nam przy pierwszej wycieczce na kamień Szamański, „którzy byli uczciwi i niesłusznie oskarżeni, a i ci także, którym Bóg przebaczył, gdy widział ich skruchę szczerą, wszyscy zaś niepoprawni zbrodniarze utonąć musieli, bo Bóg ich ratować nie myślał“. Ten pogląd Burjata, jakże jest różny od poglądu Europejczyków, tu się też zaznacza cała otchłań, dzieląca te dwie cywilizacje wspomniane. W Europie uważanoby i uważano nietonące ofiary, poddawane próbie wodnej, za czarowników i dawniej palono ich na stosach, Azjaci uznają akt nieutonięcia za sprawę ułaskawienia, dokonaną przez ducha najwyższego, pełnego dobroci, wyrozumiałości i litości. Wstrętna zaciekłość, nieludzkość i inne podobne przymioty stały się właściwościami cywilizacji europejskiej, ku jej hańbie i na jej nieszczęście. Gdym zapytał naszego towarzysza i przewodnika, opowiadającego nam o dawniejszych sądach, jak myśli, czy w dzisiejszych czasach z próby takiej, mającej świadczyć o uczciwości człowieka, wieluby ocalonych zostało? Na to pytanie zaśmiał się ironicznie Burjata, potrząsł głową i odpowiedział lakonicznie: „nikt“. Napierany z naszej strony, ażeby wyjawił przyczyny takiej niepochlebnej oceny ludzi obecnego społeczeństwa, odrzekł z nietajonem oburzeniem: „Gdzie dzisiaj znajdziesz ludzi uczciwych, tym oto traktem podczas zimy“, wskazał na gościniec pocztowy, wiodący z Irkucka do Listwiennicznej, „nikt bezpiecznie przejechać nie może, albo okradną, albo zabiją, na każdą chatę we wsi Talcyńskiej, na każdy dom w porcie Listwiennickim liczyć można co najmniej dwóch złodziei, ale człowieka trzeźwego nie znajdziesz ani jednego. Jakże chcieć, ażeby tacy ludzie nie utonęli. Bóg jest cierpliwy do czasu, nie karze grzeszników natychmiast, ale przyjdzie czas, a wtedy morze święte wyleje i utoną wszyscy, bo wszyscy są zbrodniarzami“. Z ust nie tylko tego Burjata słyszeliśmy przepowiednię zaguby ciemięzców, jest to niestety jedyna broń, którą władają dotychczas Burjaci w celu odzyskania straconej wolności. Obronę swoją, swych praw polecili oni Bogom, do czynu już nie są zdolni. Oglądanie się na cudzą pomoc, szukanie opory po za sobą, zwątpienie we własne siły, jest strasznym upadkiem moralnym, — nieszczęsny naród, który chwili takiej dożyje. Patrzącemu na zgon narodu upadającego pod siłą przemocy, zdaje się, że widzi on ofiarę nieszczęsną, żywą jeszcze w paszczy wstrętnego rekina.

Wysokość i objętość „skały Szamańskiej“ zmniejsza się stale, jakkolwiek pozornie zdawać się może, że pozostaje niezmienioną. Gdy po latach kilku niebytności, zwiedzaliśmy ją znowu, znaleźliśmy wielkie zmiany, do dzisiaj dużo jej ubyło, jak to wnosić muszę z wizerunku, przedstawiającego tę skałę na korespondentkach pocztowych ilustrowanych syberyjskich.

Znane było podanie w Irkucku, że z chwilą, gdy skała Szamańska zniszczoną zostanie — miasto stołeczne zginąć musi, i są ludzie łatwowierni, którzy wierzą szczerze, albo przynajmniej wierzyli uprzednio, w tę przepowiednię burjacką i przewidywali, że się ziści kiedyś przekleństwo, rzucone przez ten dziś biedny, zgnębiony lud.

(C. d. n.).

Z pism i książek.

Materjały do rusko-ukraińskiej etnologji. Huculszczyzna, napisał prof. Szuchiewicz. Lwów 1900. Nakładem naukowego towarzystwa Szewczenki wyszedł pierwszy tom bardzo interesującej pracy prof. Szuchiewicza, zatytułowanej „Huculszczyzna“.

Huculszczyzna, ów uroczy zakątek zamknięty w górnych dorzeczach Prutu, Czeremoszu i Cisy, jest tem dla Rusi galicyjskiej, czem Tatry dla Polski. Tam u Hucułów wśród gór, lasów i dolin zachował się szczątek samodzielnej kultury ludowej, tam u ludu wolnego od pracy na „pańskiem“, twórczość artystyczna tak jak w Tatrach zdobyła się na formy proste, pierwotne, ale odrębne i charakterystyczne.

Zresztą i życie i cała dusza huculska tak inną jest od życia chłopów w dołach. Huculł stanowi sobą tak wyższy typ ludowy wychowany na swobodzie i kochający swobodę, jak matkę rodzoną, że dla każdego artysty malarza, czy poety stanowi wzór człowieka wdzięczny i stylowy zarazem.

Huculska miłość swobody, targając wszelkie przez „mandatorów“ naznaczone powinności państwowo-wojskowe natchnęła naszego poetę Józefa Korzeniowskiego do napisania pięknego dramatu, owych znanych „Karpackich Górali“. Korzeniowski mieszkał w 1830 roku w samem sercu Huculszczyzny koło Burkutu i z prawdziwego zdarzenia wziął sobie tło dla swego „Antosia Rewizorczuka“, bohatera dramatu.

Huculszczyzną zajmował się też gorliwie wielki miłośnik ludowej sztuki, zmarły Włodzimierz hr. Dzieduszycki, który przy współudziale prof. Szuchiewicza założył w Muzeum swojem osobny dział dla sztuki huculskiej.

Książka pana Szuchiewicza sumiennie napisana, i o ile to było możliwe dobrze illustrowana, rozpada się na 8 działów.

W pierwszym dziale opisuje pan Szuchiewicz kraj huculski pod względem kształtu ziemi, jej układu i składu rosnących na niej roślin i żyjących tam zwierząt.

W drugim opisuje autor szczegółowo etniczne właściwości ludu huculskiego.

Opis szczegółowy języka, potem obyczajowych właściwości zawiera wiele interesujących szczegółów, zwłaszcza w zapatrywaniach na rodzinę i małżeństwo. Prof. Szuchiewicz pisze; „Żonaci Hucuły utrzymują niekiedy „lubaski“, a żony „lubasków“.... w niektórych okolicach ma wprost teść obowiązek postarać się bezdzietnej synowej o dzieci. Najciekawsze zaś to, że takie pożycie nie razi Hucułów, uważają oni to za rzecz na wskróś przyrodniczą“. (str. 45).

Recz jasna, że wobec wolniejszego pojmowania stosunków płciowych syfilis przynoszony przez odsługujących wojsko szerzy się z gwałtownością, zwłaszcza że jak prof. Szuchiewicz świadczy, Hucuł i Hucułka myją jedynie twarz, a co najwyżej włosy i to jedynie na niedzielę, pozostawiając resztę ciała w wiecznym brudzie.

Opis stosunków majątkowych, coraz to pogorszających się, kończy ten interesujący rozdział.

Trzeci dział statystyczny, zawiera w sobie wiele ciekawych wykazów. W czwartym rozdziale opisuje prof. Szuchiewicz wieś huculską szeroko bardzo rozsiadłą. Piąty rozdział poświęcony zagrodzie i sposobowi jej budowy.

Zagrodę, kładziona (nie stawiana) jak wszędzie prawie w północnej Słowiańszczyźnie w pierwotnej formie na „zamek“, tem jest ciekawa, że obory, jak kożuch ciepły otaczają chatę z trzech stron zostawiając jedynie front wolny.

Chacie jednak samej Hucuł mniej poświęca uwagi — zdobi natomiast starannie wnętrze chaty. Izba przypomina bardzo izbę zakopiańską, zawiera jednak w sobie przedmiot zdobny nieistniejący u Górali, a mianowicie piec kaflowy, barwnie polerowany, pełen oryginalnych pierwotnie pojętych i wykonanych obrazów z życia i przyrody.

Motywy zdobnicze obok najpierwotniejszych może kółek kresek i kwadratów rozmaicie w pasy układanych (jest nawet i meander grecki) przypominają wiele bizantyńskich motywów, a nawet co ciekawe i charakterystyczne mają w sobie wycinane kolisto-gwiaździste motywy tak spotykane często w ornamentyce tatrzańskiej i ogólno polskiej-ludowej.

Stół, będący w posiadaniu muzeum Dzieduszyckich, stary bardzo, jest wybitnym przykładem zastosowania „gwiaździstości“ zakopiańskich. Zresztą w chacie jest mebel nawskróś przypominający formą łyżnik Górali a u Hucułów nazywany „griedci“ (grzędy), gdzie na półkach przechowuje się misy polewane bogato i łyżki drewniane rżnięte ozdobnie.

Cerkiew huculska w całości, nawet w powale, na zamek wiązana, stanowi zakończenie tego rozdziału.

Bogaty i niezmiernie malowniczy strój huculski, pełen broni inkrustowanej, pasów, torb nabijanych, kieptarów różnobarwną skórę naszywanych i guń wzorzystych, stanowi treść siódmego rozdziału. Ostatni rozdział opowiada szczegółowo, czem Hucuł żywi siebie i rodzinę swoją.

Następny tom poświęcony będzie życiu i światopoglądowi Hucułów i zapewne rzuci jeszcze nie jedno światło na fakty mające doniosłe znaczenie dla ludoznawstwa porównawczego. Każdy Rusin, któremu drogi jest rodzimy kawał kultury ludowej winien książkę prof. Szuchiewicza mieć w ręku, a dla nas Polaków materjały uzbierane przez prof. Szuchiewicza obok tego że dają nam poznać jedno z najciekawszych plemion bratniego narodu pozwalają dostrzec owe różne a i wspólne cechy, jakie dzielą lub łączą lud polski z ludem ruskim.

Żałować jednak należy, że rozdział poświęcony budownictwu i sztuce huculskiej za mały i w ilustracjach za pobieżny. Sprawozdawca przypuszcza, że sztuka huculska winna znaleść swojego Matlakowskiego, któryby w troskliwie zebranej monografji osobno opracował skarbiec form artystycznych ludowych zamknięty w górach huculskiego Pokucia.

Kazimierz Mokłowski
Architekt.

Z drukarni W. A. Szyjkowskiego, Lwów ul. Kopernika 5.